

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

42

1.3

Bufet znajdował się w głębi, oświetlony dwoma wiszącymi lampami. Pod niskim sklepieniem unosiła się gęsta, dusząca mgła dymu i oparów przeróżnych. Szynkownia ta miała wygląd ponurych, ciemnych suteryn, a bliskość rzeki szumiącej monotonnie i bez przerwy, przyczyniała się do odstraszającego i niepokojącego wrażenia, jakie czyniła.

Kilku ludzi o podejrzanym wyglądzie siedziało przy stołach, zastawionych olbrzymimi kufkami piwa i szklankami absyntu, likieru i napoi różnych o wielorakich barwach. Od czasu do czasu ponad szmerem rozmów wzniosło się przekleństwo, wypowiedziane grubym, gardłowym głosem i ginęło, nie zwracając niczyjej uwagi.

W głębi za bufetem stał człowiek tysy zupełnie. Twarz miał suchą, pergaminową i olbrzymi brzuch, rozpychający w komiczny sposób kraciątą, otluszczoną kamizelkę. Chudy, rudych chłopak obsługiwał gościom, przesuwając się jak cień pomiędzy stolikami.

Na wejście nowoprzybyłych kilku pijących odwróciło głowy, inni przyglądali im się z głupkowatą ciekawością. Ale Dick Leslie nie zmieształ się tym bynajmniej. Zawołał chłopca i kazał przynieść mu dwie szklanki whisky dobrze przyprawionej.

— Czy on przyjdzie? — zapytał półszepem Robert, patrząc niecierpliwie ku drzwiom.

— Obiecał — odpowiedział wymijająco detektyw, zapalając fajkę.

Zamilkli. Robert Alimena zapadł w ciężkie zamyślenie. Leslie palił, wypuszczając z ust gęste kłęby dymu.

Nagle, z ulicy rozległ się gwizd przeciągły i ostry. Dick Leslie zadrżał, ale nie powiedział ani słowa.

— Co to jest? — zapytał Robert, przechylając się ku niemu.

Detektyw znakiem ręki nakazał mu milczenie. Gwizdnięcie powtórzyło się, bliższe już i donośniejsze. Wówczas dwoje ludzi powstało od stolika, gdzie pili piwo i na stół rzucili kilka drobnych, srebrnych monet. Ludzie ci mieli zwierzchnię, cyniczną twarz, szyje ich były okryte brudnym, czerwonym iularem. Wyszli z szynku pomału, trzymając ręce w kieszeniach, rzucając wokoło przeciągłe, podejrzliwe spojrzenia.

Drzwi zamknęły się za nimi i długa chwila milczenia zaległa salę. Czuć było w powietrzu coś tragicznego i ponurego.

— Stanie się za chwilę jakieś nieszczęście — zauważył obojętnie Dick.

— Doprawdy? Tutaj? Blisko? — zainteresował się Robert Alimena.

Detektyw skinął głową i zamilkł. Dochodziła już dwunasta godzina.

— Ten John nie zjawia się jakoś — wyrzekł po jakimś czasie Robert, który drżał z niecierpliwości.

Lecz jeszcze nie wymówił dobrze tych słów, kiedy drzwi, zakryte czerwoną firanką, rzucającą krwawy blask na ulicę, otworzyły się i do szynku wszedł John, służący Markusa Hennera.

— To on! — oznajmił cicho Dick Leslie.

John wszedł powoli, trzymając ręce głęboko wsadzone w kieszenie palta, z fajką w ustach. W przechodzie rzucał pozdrowienia zgromadzonym głosem znudzonym i spokojnym.

Ujrawszy detektywa, uklonił mu się, ale nie zbliżył do niego, tylko sam zajął miejsce przy odosobnionym stoliku.

Usiadłszy, fajką uderzył o stół, w ten sposób przywołując usługującego chłopaka i kazał mu podać „cock-lac”, ten sławny napój angielski.

— Dlaczego on nie podszedł do nas? — zapytał Dicka Robert.

— Trochę cierpliwości. Nie trzeba przyspieszać wypadków i nie trzeba zdradzać naszej ochofy do rozmowy z nim.

— Dobrze, panie Dicku, ale cierpliwość opuszcza mnie już na dobre.

— Wszystko nadchodzi w porę dla tego, który

czekać umie — odpowiedział sentencyjnie Dick Leslie.

— Ah! Boże! kiedy pomyślę, że w rękach tego człowieka leży moje szczęście — zachnął się Robert.

Dick nie odpowiedział, tylko otoczył się gęstszą jeszcze chmurą dymu. Milczenie ich przerwane było wkrótce odgłosem gwizdnięcia, pochodzącego z oddali już teraz, lecz również donośnego i ostrego. Ktoś przebiegł pod drzwiami szynkowni i znowu zaległa cisza.

— Co się dzieje? — zapytał Robert.

— Sprawa załatwiona — odpowiedział detektyw, nie odwracając nawet głowy.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Człowiek jakiś zginął...

— Człowiek?

— Tak... kobieta może — kto to wie...

— Morderstwo?

— Oczywiście.

— Jutro policja znajdzie zwłoki...

— Oh! nie. Tamiza jest tak głęboka!

— I pan, człowiek należący do policji, może to tak mówić spokojnie — oburzył się Robert. — Nie stara się pan zbadać, zapobiedz, odkryć winnych?

— Nie dano mi na to rozkazów — odparł zimno detektyw. — A kiedy nie mam rozkazu — nic mnie to obchodzić nie powinno. Gdyby mi jednak zlecono jutro szukać winnych, wiedziałbym doskonale, gdzie ich szukać.

— Trochę zapóźno! Po dokonanym morderstwie — zauważył z goryczą Robert.

— Ha! trudno! Tyle ludzi ginie co dnia w Londynie!

— Co za okropny kraj!

— Okropny! — przyświadczył Dick Leslie, nakładając sobie świeżo fajkę — ale nie okropniejszy od innych.

W tej chwili John powstał z miejsca i powolnym krokiem zbliżył się do ich stolika, pozdrawiając uprzejmie Dicka. Alimena odpowiedział na to pozdrowienie lekkim uchyleniem kapelusza i w milczeniu wpatrzył się w sufit z miną zupełnie obojętną, jak gdyby rozmowa Johna z detektywem nie zajmowała go wcale.

— Przyszedłeś trochę późno, przyjacielu — zauważył Dick Leslie spokojnie.

— Tyle jest pracy u nas — odpowiedział wymijająco John.

— Nawet wieczorem?

— Nawet w nocy.

— Zła służba. Ja bym tam nie pozostał długo — mruknął Dick Leslie, paląc zawzięcie swoją fajkę.

— Urządzam się zawsze w ten sposób, aby być wolnym o tej godzinie — rzekł służący, siadając na ławce obok detektywa.

— Ah! tak! Ale twój pan pracuje dalej?

— Tak. On czuwa późno w nocy.

— Co robi? Czyta? pisze?

— Przyjmuje także gości — szepnął cicho John.

— Ah!

— Markus Henner jest potężnym człowiekiem — dodał służący, patrząc ukradkiem na Roberta, nie wtrącającego się wcale do rozmowy.

— Ho! ho! on może nie jest tak potężnym, jak ci się to zdaje, mój przyjacielu — zaśmiał się ironicznie Dick Leslie. Któż go zna właściwie? Kto o nim co wie?

— Jest wielkim i potężnym człowiekiem — powtórzył tajemniczym, drżącym głosem służący, który trwał jeszcze pod wpływem swojego pana.

— Szczęśliwy? sławny? bogaty.

— Bogatym jest, jestem tego pewnym i sławnym pomiędzy ludźmi jego pochodzenia... ale szczęśliwym nie sądzę...

— Widzisz więc mój kochany, że Markus Henner nie jest jeszcze księciem Wellingtonem.

— On posiada wielką władzę nad duszami — unosił się dalej John — ujarzmia je, panuje nad nimi, urabia według swojej woli...

— Tak — to możliwe, on musi być magnetyzerem — rzucił niedbale Dick.

— Nie wiem, kim on jest, ale wiem, że potrafi pokonać wolę cudzą, zmienić myśli człowieka, uspakajając bóle i wzniecać radość.

— Radość sztuczną — wtrącił nagle milczący dotąd Robert.

— Prawdziwa, czy sztuczna, co to znaczy! — odparł John, zwracając się w jego stronę.

— Hypnotyzm jest źródłem przeróżnych oszukaństw — wyrzekł zimno Alimena, odwracając wzrok od spojrzenia, jakim go objął służący.

— To możliwe. — Ale są to święte oszukaństwa. Kilka dni temu, widzi pan, przyszła do mojego pana młoda suchotnica, znajoma moja. Nie chciał jej przyjąć, bo zjawiała się w niedobrej dla niego chwili. Ale tak gorąco przemawiałem za nią, że zgodził się na rozmowę z nią. Uspłił ją i kazał jej uwierzyć, że jest uzdrowioną. No, i ona odeszła taka uspokojona, taka szczęśliwa!

— Kłamstwo! wszystko kłamstwo — powtórzył półgłosem Robert.

— A przylem — dodał Dick Leslie, śmiejąc się ironicznie — nie wierzę, aby twój pan działał zawsze w dobrym celu.

John spuścił głowę i nie odpowiedział.

— Mówiliście, że on nie czuje się szczęśliwym? — zapytał Robert po chwili, chcąc znowu podjąć rozmowę.

— Nie! Nie!

— Dlaczego?

— On kocha kobietę, która go nienawidzi — rzekł John, patrząc prosto w oczy Robertowi.

— To jest twoja pani? — zapytał Dick, porozumiewając się spojrzeniem z towarzyszem.

— Tak.

— To jest jego żona?

— Nie wiem — zdaje mi się, że nie — odparł John w zamyśleniu.

— Więc jego kochanka?

— Nie wiem.

— Jaki! Nie wiecie tego? — zawołał Robert niecierpliwiony.

— Jakże pan chce, żebym wiedział?

— Życie przecież razem.

— Tak. Ale ten dom jest taki dziwny.

— Czy on i ta kobieta nie mieszkają wspólnie? — zapytał Robert drżącym głosem.

— Ona go wypędza zawsze od siebie.

— Zawsze?

— Z wyjątkiem tych chwil, w których on ją hipnotyzuje — to jest próbuje hipnotyzować.

— Próbuje? Więc mu się to nie zawsze udaje? — pytał gorączkowo Alimena, nie mogąc już panować nad sobą.

— Mój pan usiłuje ją uspić.

— I ona zasypia?

— Na bardzo krótko.

— Czy udaje mu się ją zasugerować? — badał dalej Robert, blednąc nagle.

— W części — wyznał John z trudem, odwracając oczy.

— Wytlómacz nam to lepiej, mój przyjacielu — wmięszal się Dick Leslie, który spostrzegł ogromne podniecenie swojego towarzysza.

— Jakże pan chce, żebym to lepiej wytłómaczył! Biedna pani Marya, jest istotą bardzo nieszczęśliwą i wszystkie jej przejścia wydają się być jak wyjęte z romansu!

— Z romansu! — zawołał Robert, nie spuszczać z oczu mówiącego.

— To historia taka długa, taka smutna i bolesna — szepnął służący z prawdziwym wzruszeniem w głosie.

— Opowiedz ją nam!

— Nie mogę — wyszeptał ciężko John, nisko spuszczać głowę.

— Dlaczego nie możesz, mój przyjacielu? — nalegał Robert Alimena.

— Bo zdradziłbym swojego pana!

— Czy on nie jest tym, który więzi twoją biedną panią?

— To prawda.

— Czy to nie on pozbawił ją wolności?

— Tak, tak!

— Czy to nie on, który stara się zniszczyć jej wolę zbrodniczymi środkami? Czy to nie przez niego ona jest tak nieszczęśliwa?

— Oh! tak! tak! — wyszeptał służący, zakrywając twarz rękami.

— Panie Johnie, czy nie kocha pan więcej swojej pani od swojego pana?

— Oh! ja uwielbiam tę biedną istotę!

— A jego nienawidzisz, prawda?

— Nie mam nienawiści dla niego?

— Lękasz się go?

— Trochę.

— Dlaczego? Cóż on ci może zrobić?

— On jest zdolnym do wszystkiego — wymówił John drżącym głosem.

— On o niczem wiedzieć nie będzie.

— On wie wszystko!

— Zwycięzimy tego nikczemnika! On umrzeć musi! — zawołał Robert Alimena, zapominając o wszelkiej ostrożności.

(Ciąg dalszy nastąpi).